

Przystanek historia

<https://przystanekhistoria.pl/pa2/teksty/39169,Stefan-jeden-z-Wyklętych.html>



ARTYKUŁ

„Stefan” - jeden z „Wyklętych”

OKRES HISTORYCZNY

(1939-1945) II wojna światowa (1945-1948) Pierwsze lata Polski Ludowej

Autor: TOMASZ ŁABUSZEWSKI 26.03.2019

Spośród wszystkich konspiratorów tworzących zbiorowość Żołnierzy Wyklętych najtragiczniejszą – mimo wielokrotnie dawanego świadectwa bohaterskiej postawy – byli żołnierze konspiracji kresowej. Jedną z postaci z tego kręgu był Stefan Pabiś „Stefan”, żołnierz ZWZ-AK-WiN z powiatu wołkowyskiego.

Kiedy na początku lat pięćdziesiątych udało mi się po wielu trudach uzyskać adres jego zamieszkania gdzieś w ostępach Puszczy Piskiej, spodziewałem się spotkać człowieka silnego, zdecydowanego, odpowiadającego typowemu wyobrażeniu bohatera-partyzanta. Pamiętam swoje zaskoczenie, kiedy z małej chatki położonej pod lasem wyszedł mi na spotkanie niski starszy pan. Jedynie sprężysty krok i zdecydowane ruchy, mimo przekroczonej osiemdziesiątki na karku, zdradzały postać o niespożytej wręcz energii i żywotności. Dobrotliwy tembr głosu, skromność, a jednocześnie bezinteresowna życzliwość – typowa dla ludzi z Kresów Wschodnich – sprawiały, że był człowiekiem budzącym z miejsca sympatię.

Do działalności niepodległościowej włączył się zaraz po rozpoczęciu wojny sowiecko-niemieckiej, bardzo szybko zyskując wśród przełożonych opinię człowieka od zadań wszelakich. Był nie tylko dowódcą plutonu terenowego, uczestnikiem akcji dywersyjnych, ale także konstruktorem bunkrów przeznaczonych na magazyny broni, kryjówek dla poszukiwanych konspiratorów oraz na tajny punkt nasłuchu radiowego.

Przegadaliśmy wiele długich nocnych godzin, jednak szczegóły historii jego służby w konspiracji niepodległościowej i heroicznych wyczynów poznałem nie od niego, ale od jedyne żyjącego jeszcze wówczas jego podkomendnego – Pawła Lachowskiego „Żurawia” – człowieka skutecznie ukrywającego się przed komunistyczną bezpieką aż do 1989 roku.

Nieujarzmiona dusza

W chwili wybuchu II wojny światowej Stefan Pabiś był już – jak na standardy przyszłych konspiratorów – człowiekiem „starym”; miał 31 lat. Zmobilizowany w 1939 roku do 4. batalionu forttecznego, kampanię wrześniową przeszedł w całości w obronie Lwowa. Po jego kapitulacji trafił na skutek wiarołomstwa Sowietów do obozu jenieckiego w Równem, *notabene* oficerskiego, bo tuż przed pójściem do niewoli zamienił się na

mundur z jednym ze swoich przełożonych.

W obozie nie zamierzał siedzieć z założonymi rękami, po kilkunastu dniach zbiegł, otwierając w ten sposób prawdziwy serial udanych ucieczek z rąk komunistycznych oprawców.

„Ja byłem taka nieujarzmiona dusza. Niewola na mnie bardzo źle działała – opowiadał po latach – myślę sobie, nie, ja tu dłużej nie mogę być. Skontaktowałem się z jednym podporucznikiem z Baranowicz i umówiliśmy się, że będziemy razem wiać, bo to wszystko, co nam tu obiecują, wszystko to nie jest to. To się inaczej zanosi. I pewnego wieczoru zwialiśmy. Pamiętam, deszczyk padał. Parkan tam był drewniany. Wyłamaliśmy sztachety i ja trafiłem na stację kolejową. Tam wskoczyłem na taką lorę, odkryty wagon, którym przewożone były akumulatory, i dojechałem do Kowla”.

W drodze powrotnej do domu został zatrzymany przez milicję i osadzony w twierdzy brzeskiej, w koszarach 82. pp., skąd wywieziono go transportem kolejowym w stronę Baranowicz i dalej na wschód.

„Dojechaliśmy wieczorem. Pociąg zatrzymał się na stacji. Powiedziano nam, że rano będziemy otrzymywać dokumenty. Następne kłamstwo. Rano żadnych dokumentów, a my jedziemy na wschód, mijamy jedną, drugą stację, trzecia stacyjka nazywała się Pogorzelce. I tak sobie mówię – ty Stefan nie patrz na nic, tylko zwiewaj póki czas. Mówię – pomóżcie chłopcy dostać się do okna, bo one nie były zakratowane. [...]. Stałem przez pewien czas na buforze, a później przesunąłem się, czepiając się różnych prętów, pod wagon. Kiedy zrobiło się ciemno, zdecydowałem się puścić”.

Maszerował tylko nocami, do rodziny w okolicy Jałówki udało mu się szczęśliwie wrócić w listopadzie 1939 roku. Spotkanie z rodziną o mały włos nie zakończyło się jednak tragicznie. Będąc cały czas w mundurze, zaraz po przybyciu został zatrzymany po raz kolejny przez milicjantów, którzy dopiero po ugoszczeniu i wręczeniu przez gospodarzy stosownych „prezentów” zgodzili się pozostawić go na wolności.

Jego oddział występował w mundurach sowieckich jako lotny oddział NKWD przeznaczony do zwalczania polskiej partyzantki. Wymagało to dużej odporności

psychicznej i niejednokrotnie niebywałego wręcz tupetu, zwłaszcza w walce z agenturą.

Do działalności niepodległościowej włączył się zaraz po rozpoczęciu wojny sowiecko-niemieckiej, bardzo szybko zyskując wśród przełożonych opinię człowieka od zadań wszelakich. Był nie tylko dowódcą plutonu terenowego, uczestnikiem akcji dywersyjnych, ale także konstruktorem bunkrów przeznaczonych na magazyny broni, kryjówek dla poszukiwanych konspiratorów oraz na tajny punkt nasłuchu radiowego. Jego rolę – mimo stosunkowo niewysokiego stopnia (plutonowego) i pozycji w hierarchii organizacji wołkowyskiej AK – „docenili” sowieci zaraz po ponownym wkroczeniu na te tereny w lecie 1944 roku.

Już po dwóch dniach zatrzymano go po raz trzeci – tym razem było to NKWD – a następnie przekazano wraz z innymi miejscowymi żołnierzami AK do obozu w Dojlidach pod Białymstokiem. Tam po „filtracji” przez sowieckie służby specjalne miano sformować z nich 6. zapasowy pułk piechoty 2. Armii ludowego WP. Z tego obozu, po raz kolejny w swojej karierze, zorganizował udaną ucieczkę. Powrócił na teren powiatu wołkowyskiego, odciętego już od reszty przedwojennego województwa białostockiego nową polsko-sowiecką granicą.



Partyzanci z 5. Brygady Wileńskiej AK przed główną siedzibą grupy BOA, mieszczącej się w warsztatach spółdzielni „Robotnik” w Bobolicach, 1946



Żołnierze z oddziału BOA i 5. Brygady Wileńskiej AK przed wspólną akcją w Koszalinie, 1946 rok (AIPN)



Żołnierze grupy BOA (od lewej): Edward Kukotko „Wrzos”, Władysław Borodziuk „Orzeł” i Konstanty Wojciechowski „Kostek”, „Ryś”, Malbork, lato 1946 roku (AIPN)

W sowieckim mundurze

Od tego momentu przez kolejne trzy lata pozostawał na tzw. nielegalnej stopie, ukrywając się przed sowieckim, a następnie polskim komunistycznym aparatem bezpieczeństwa. W warunkach narastających represji wciąż rosła rola takich jak on. Na przełomie lutego i marca 1945 roku przełożeni powierzyli mu stanowisko dowódcy formowanego właśnie oddziału partyzanckiego.

Trudno dziś rozsądzić, kto stał za pomysłem nadania mu „egzotycznego” kryptonimu BOA – będącego rzekomo skrótem od słów „Bojowy Oddział Armii”. Z całą pewnością wyróżniał się on spośród innych grup zbrojnych nie tylko nazwą, ale i sukcesami, do których głównie przyczynił się Stefan Pabiś. Prowadząc do sierpnia 1945 rok bardzo efektywne działania wymierzone w zdrajców i agenturę sowieckiego aparatu bezpieczeństwa, jako jedyny spośród czterech oddziałów Obwodu Wołkowysk nie został rozbity przez NKWD. Sukces ten był wynikiem przyjętego przez „Stefana” kamuflażu, bo jego oddział występował w mundurach sowieckich jako lotny oddział NKWD przeznaczony do zwalczania polskiej partyzantki. Wymagało to dużej odporności psychicznej i niejednokrotnie niebываłego wręcz tupetu, zwłaszcza w walce z agenturą. Podkomendy „Stefana” – „Żuraw” – tak wspominał jedną z typowych wówczas akcji:

„To miało miejsce w okolicach Międzyrzecza w lipcu 1945 rok [...] pewnej nocy na drodze spotkaliśmy się z pewnym facetem, więc go zatrzymaliśmy, a że ja wówczas perfektor rozmawiałem po rusku i do tego byłem ubrany w ruski mundur i przy furazerce ta przeklęta gwiazda, więc ja go zacząłem legitymować. Okazuje się, że szef szpiclów NKWD. Mówię – *Charaszo*, a on pyta mnie – Wy kto. Ja mówię, że też NKWD, tylko ta nasza grupa to jest taka lotna od likwidacji i wyszukiwania polskich bandytów, a jesteśmy z kontrwywiadu. Wówczas ten nauczyciel enkawudysta zaproponował nam swoją pomoc i podał spis swoich szpiclów i ich adresy po terenie i powiada – jak wam zajdzie potrzeba pomocy, to proszę powołać się na mnie. Niestety, musieliśmy zakończyć jego nauczanie i szefostwo nad szpiclami. Pewnego razu udaliśmy się w nocy pod podany adres jednego z tych donosicieli. [...] Kiedy zapukałem do okna [...], mówię mu, że jestem nowym enkawudystą i już pracuję z tym a tym, podając nazwisko innego donosiciela. Mówię do niego, ażeby nie zapalał światła w domu, żeby się nie zdradzić, że jesteśmy u ciebie. Mówię mu – otwórz, to pogadamy. To ten raz dwa i pakujemy się wszyscy za wyjątkiem jednego, co został na posterunku przy chałupie. No, i zacząłem dalszą rozmowę, czy coś wie o ukrywających się Polakach. Nawet podaję nazwisko jednego z ukrywających się. No, a on opowiada, jak tu rozpoczyna swoje działanie jako donosiciel, mówi, że oczyścimy ten teren od polskich bandytów. Stefan słuchał i pozostali koledzy naszej rozmowy. Wreszcie Stefan

powiada – wystarczy, niechaj zapali światło. Więc ja do niego mówię – *Ano zażyj swiet*. Złapał lampę naftową do ręki i zapalił światło, i dopiero spojrzał na mundury, a lampa brzdęk z rąk na ziemię. Rżnie w portki. Chłopaki wzięli taką ławę, która była przy ścianie, na środek mieszkania, Stefan podaje wyrok – na pierwszy raz 25 nahaj, ale to sam ma obliczyć, bo jak się pomyli to może być więcej”.

Dowódca daje przykład

Sam „Stefan” nie stronił też od osobistego udziału w najbardziej nawet niebezpiecznych akcjach, ugruntowując w ten sposób swój autorytet wśród podkomendnych, którzy zaczęli traktować go jak ojca. Sposób, w jaki zlikwidował jednego z funkcjonariuszy sowieckiej bezpieki, Szukajłę, będącego postrachem polskiej społeczności z okolic Zelwy, przypominał fragment z kart sienkiewiczowskich powieści.

„Stefan był już przygotowany – wspomina Lachowski – i tak od pepeszki odjął kolbę tylko z lufą i zamkiem, i pełnym bębniem do tego. Wziął do siebie takiego młodziaka, który miał wówczas 15 lat i on był w naszym oddziale. Tego chłopaczka ubrali w taką marynarkę z dorosłego chłopca, tak że jak wzięł pistolet w dłoń to nie było go widać. No, i Stefan z Kosem zasiedli przy drodze, na której odbywał się największy ruch ludności, w dodatku koło nich, gdzie siedzieli w życie przy drodze, to *vis a vis* przy grobli prowadzone były roboty. Tam było masę furmanek i pieszych, to miało miejsce w biały dzień. Stefan tak komicznie wyglądał, czapkę miał taką, że przez nią włosy mu było widać, płaszcz poobrywany, jak by go sfora psów potargała. Ot, stary dziad z przewodnikiem. Kiedy Stefan dostrzegł, że jedzie ww. cwany lis, to wyszedł «dziadek z wnuczkiem» na drogę i idą w stronę cwane go lisa. Kiedy się zbliżali do siebie, to cwany lis pilnie im się przypatrywał, kiedy się zrównali, wówczas błyskawicznie spod porwanego płaszcza wyskoczyła lufa pepeszki Stefana i wysadziła z siodła bohatera Związku Radzieckiego”.

Sukcesy Pabisia zostały docenione przez dowództwo działającej po obu stronach kordonu białostockiej organizacji poakowskiej AKO (Armia Krajowa Obywatelska) – otrzymał awans do stopnia podporucznika czasu wojny i Krzyż Walecznych oraz nominację na szefa samoobrony w Obwodzie Wołkowysk. Przypadła mu też rola osoby odpowiedzialnej za sprawny przerzut na zachód działających jeszcze aktywów organizacyjnych, a odbywał się on – co trzeba podkreślić – w warunkach postępującego „uszczelniania” linii granicznej przez pograniczników NKWD i niejednokrotnie konieczności zbrojnego przebijania się doraźnie formowanych oddziałów. Po udanym przeprowadzeniu we wrześniu 1945 roku grupy BOA, „Stefan” dwukrotnie wracał jeszcze „za granicę” po swoich towarzyszy broni.

Do resortu zgłosił się sam – ujawniając się 21 kwietnia 1947 roku i dopełniając tym samym warunków amnestii. Chociaż nie kontynuował już działalności niepodległościowej, nie dano mu spokoju – 30 stycznia 1948 roku został aresztowany i skazany w grudniu 1949 roku na dziesięć lat pozbawienia wolności.

Ostatnia z takich eskapad o mało nie zakończyła się dla niego tragicznie. Podczas przechodzenia pasa granicznego natknął się na dwóch pograniczników, których – aby zachować konspirację – zabrał ze sobą na polską stronę. Tam zdecydowany był ich rozstrzelać dla zatarcia śladów, ze względu jednak na prośby uczestników całej operacji – darował im życie, po warunkiem niepowiadamiania przełożonych o całym zdarzeniu. Konsekwencje były natychmiastowe. Sowieccy żołnierze błyskawicznie ściągnęli na oddział „Stefana” obławę, która po wyjściu z sowieckiej strony bez problemu kontynuowała pościg na terenie powiatu sokólskiego. Ostatecznie osaczyła grupę na stacji w Waliłach, już po ukryciu się jej członków w składzie pociągu towarowego. Pabiś kolejny już raz zdecydował się na ucieczkę. Udało mu się wydostać z drugiej strony wagonu, zaczął biec w głębokim śniegu w kierunku lasu. O powodzeniu zdecydował przypadek – żołnierze sowieccy, zamiast rozpocząć od razu ostrzeliwanie uciekającego, puścili za nim w pogoń psy, chcąc zapewne schwytać go żywcem. „Stefan” zastrzelił psy. Rozpoczęty ostrzał, prowadzony z odległości 200–300 metrów, był już nieskuteczny. Pabiś dostał przez kozuch postrzał w kręgosłup. Po raz czwarty uciekł komunistycznej bezpiece.

Przez kolejne tygodnie był wyłączony z działalności konspiracyjnej i ukrywał się w okolicach Ostrowi Mazowieckiej. Tymczasem jego podkomendni z grupy BOA, osiedleni w Bobolicach (powiat kozaliński) nawiązali kontakt z żołnierzami 5. Brygady Wileńskiej AK i wznowili działalność dywersyjną. Czterech z nich dołączyło ostatecznie do 5. szwadronu dowodzonego przez ppor. Zdzisława Badochę „Żelaznego”.

Powrót „Stefana” w maju 1946 roku skomplikował sytuację – w dalszym ciągu uznawał on bowiem zwierzchnictwo białostockiej organizacji WiN, której brygada nie podlegała. Jego przyjazd zbiegł się w czasie z obławą UB na Bobolice, wywołaną wcześniejszą aktywnością wołkowyskich konspiratorów. Mimo braku znajomości terenu „Stefanowi” piąty już raz udało się ująć cało. Wraz z kilkoma swoimi podkomendnymi przeniósł się na Warmię, a następnie Mazury, gdzie na przedmieściach Szczytna wziął w zarząd i uruchomił młyn – legalizując w ten sposób siebie i swoich ludzi.

Wciąż nieuchwytny

Nie wiadomo, w jaki sposób bezpieka trafiła na jego ślad, w tym czasie utrzymywał bowiem ograniczone kontakty konspiracyjne z białostockim dowództwem zrzeszenia. Faktem jest, że w październiku 1946 rok funkcjonariuszom komunistycznego aparatu bezpieczeństwa mogło wydawać się, iż tym razem w los się do nich wreszcie uśmiechnął i „sprawę «Stefana»” będą mogli uznać za ostatecznie zamkniętą.

Pomylili się po raz szósty. Zatrzymanych Pabisia i dwóch jego podkomendnych załadowali na odkryty samochód ciężarowy i wyruszyli w kierunku Olsztyna. Gdy pojazd zwolnił na jednym z licznych zakrętów, „Stefan” wyskoczył na jezdnię wraz z siedzącym mu podobno na kolanach konwojentem (to samo uczynili jego ludzie). Podczas ogólnego zamieszania pozostali na samochodzie funkcjonariusze UB otworzyli ogień i zabili przez przypadek swojego kolegę. W przygotowanym raporcie odpowiedzialnością za całe zajście obarczyli mityczny oddział partyzancki, który miał przygotować na nich zasadzkę.



Porucznik Stefan Pabiś po aresztowaniu przez UB wraz z odkopaną bronią należącą do oddziału BOA, 1948 rok (AIPN)

„Stefanowi” udało się skutecznie zatrzeć za sobą wszystkie ślady. Bezpieka nie zdołała go schwytać – do resortu zgłosił się sam – ujawniając się 21 kwietnia 1947 roku i dopełniając tym samym warunków amnestii. Chociaż nie kontynuował już działalności niepodległościowej, nie dano mu spokoju – 30 stycznia 1948 roku został aresztowany i skazany w grudniu 1949 roku na dziesięć lat pozbawienia wolności. Resort bezpieczeństwa powoli odtwarzał kolejne wątki z jego bogatej działalności niepodległościowej – co spowodowało rewizję procesu i zasądzenie w czerwcu 1950 roku kary śmierci. Do połowy września „Stefan” oczekiwał na uprawomocnienie się wyroku, co nastąpiło decyzją Najwyższego Sądu Wojskowego.

Jedyną szansą na ujście z życiem pozostawało ułaskawienie go przez Bieruta. Szczęście i tym razem mu

dopisało, bo mimo negatywnej opinii składu sędziowskiego zamieniono mu wyrok na dożywocie. Wyszedł na wolność w maju 1955 roku.

Moment jego powrotu do domu tak zapamiętał jego syn Zygmunt:

„Najpierw usłyszano lekkie stukanie do okna od strony ulicy, po pewnym czasie mamusia pyta: , «Kto tam?» – odpowiedź: , «To ja, Stefan», «Jaki Stefan?», «Stefan – twój mąż». Mamusia na to, «co, znowu uciekłeś?» Odpowiedź: «Nie – wypuścili mnie». [...]

Po zapaleniu światła, wszyscy domownicy ujrzeli człowieka otyłego, w ubraniu żebraka. Sławny bohater „Stefan”, był ubrany w starą zniszczoną kurtkę mundurową, zniszczone spodnie przepasane sznurkiem, buty nie do pary i bez sznurowadeł”.

Odszedł na wieczną wartę w 2003 roku.

Tekst pochodzi z numeru 1/2012 miesięcznika „Pamięć.pl”

COFNIJ SIĘ